

TEMAT:

Czy możliwe jest współistnienie światów rzeczywistego i nierzeczywistego? Rozważ problem, odwołując się do fragmentu *Wampira* Władysława Stanisława Reymonta oraz innych tekstów kultury.

– Siadać, cicho... Zaczynamy!...

Zenon siadł przed fisharmonią, stojącą w głębokiej niszy na prawo, wprost okien, i zaczął cicho grać.

Światła wtedy raptem pogasty, przez chwilę jeszcze żarzyły w żyrandolu rozpalone węgle, potem, gdy szcerniały, tylko kryształowa kula błyskała zielonkawym, rozdrzanym światełkiem.

Usiedli pod ścianą, jeden przy drugim, nie tworząc już łańcucha. [...]

W pokoju zrobiło się wprost strasznie, siedzieli w grobowym milczeniu, skurczeni w bolesnym nabrzmieniu trwogi i oczekiwania, błędząc oczami w ciemnościach i czepiając się tego jedyne go światełka jak zbawienia.

Chłód dziwny zawiewał od ścian, że mimo rozgorączkowania trzęśli się z zimna. Cisza była już nie do wytrzymania, a ten powracający wciąż, monotony akord przejmował coraz sroższą męką...

Naraz w ciemnościach zaczęło się coś stawać. Najpierw szyfrowe tabliczki, leżące na stole, jęły się podnosić i opadać jakby podrzucane, wreszcie trzasnęły w sufit i rozbitymi kawałkami posypały się na podłogę... A po chwili zaczęły się rozsypywać w ciemnościach świetliste, niezliczone drgania, ale tak nikłe, tak drobnowe, że wydawały się próchnicową fosforescencją, opadały połyskującą rosą, osypywały się po ścianach, gęstniały z wolna i świeciły coraz mocniej, zalewając pokój błyszczącym, rozdrzanym tumanem, jakby śniegiem błękitnawym, opadającym bez szelestu sypką i pierzastą falą. [...] Świetlista ulewa jeszcze się wzmogła, już teraz pokój był podobny do ciemnoblękitnej otchłani, przez którą przepływał potok gwiazdnych pyłów tak jaśniejący, iż ściany, drzwi, obrazy, sprzęty i sine, wylękłe twarze widać było dokładnie poprzez to rozdrzane, opadające bezustannie przedziwo błysków.

Mgławki zarys postaci, świetlany majak, widmo utkane ze światła, ukazało się naraz w drzwiach pokoju uspionej. [...] Zjawa jakby kwiatem z rozchwianych płomieni uniosła się w górę, była jakby wytryskiem rozproszonego światła, z którego co chwila urabiał się zarys ludzkiej postaci i rozpryskiwał wybuchem krótkich, rozpylonych błysków.

Ulewa zgasła, pokój pociemniał, tylko zjawa błyszczącym ostro żółtawym obłokiem unosiła się z wolna, krążyła na parę stóp nad ziemią, stając się chwilami tak wyraźną w ludzkim kształcie, że widać było twarz kobiecą, okoloną długimi włosami, zarysy ramion i kontur całej postaci, a przez mgnienia i jakaś niebieskawa, mieniąca się płomieniami suknia widniała, ale niepodobna było dojrzeć rysów, bo to chwilowe skupienie światła, ten brząsk rażący, z jakiego się urabiała, te połyskliwe, martwe drgania mieszały się ustawicznie, przelewały wirem bezustannym, że co mgnienie kontury się rozwalały w pył świetlisty i występowały na nowo.

Przez jakąś dłuższą chwilę widmo stało się zupełnym kształtem ludzkim, przysuwając się tak blisko, że obłądny strach runął w nich piorunem, chwiała się tuż przed nimi, zbliżając swoją twarz okropną; twarz ślepa, bez rysów, jakby kulę, z gruba obrąbaną i przedziurawioną czarnymi otworami, larwę podobną do kłęba mgławiających się drobin świetlistych, larwę dręczącego snu i przerażenia. Sunęła od jednego do drugiego, zaglądając pustymi oczodołami w ich zamarte i ostygłe ze strachu oczy, i jakieś ręce śliskie, wilgotnawe, jakby z nagrzanego kauczuku, ręce okropne i trupie, ręce zgrozy niewypowiedzianej dotykały wszystkich twarzy.

(Władysław Stanisław Reymont, *Wampir*)